Nr. 6. Kraków, w czerwcu 1906 r. Rok VII.



Pismo dla kobiet

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor.	zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal.	pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, II. p.

Szczekociny.

Po sławnem zwycięstwie racławickiem odniesionem sto dwanaście lat temu, w dniu 4 kwietnia 1794 roku, Najwyższy naczelnik Tadeusz Kościuszko pociągnął z wojskiem swojem pod Bosutów nieopodal Krakowa, a następnie wzdłuż Wisły przez Pleszów, Igołomię, Witów, Wiślicę, Korczyn do Połańca. Stanowisko pod Połańcem, oblanym z trzech stron wodami Wisły, było pod względem wojskowym bardzo silne, to też Kościuszko obwarowawszy się tutaj, postanowił zaczekać na generała Grochowskiego, który zbierał wojaków naszych w lubelskiem, na prawym brzegu Wisły.

Moskale pobici pod Racławicami cofnęli się na północ za miasteczko Staszów i nie śmieli zaczepiać Kościuszki. Krążyli tylko dokoła jego obozu.

Korzystając z chwilowego spokoju, Naczelnik ćwiczył swoje wojsko w obrotach wojennych i służbie obozowej, a nadto wydawał rozmaite rozporządzenia i odezwy do narodu. Między innemi wydał stąd dnia 7 maja 1794 r. słynny manifest połaniecki, mocą którego przyznawał włościanom polskim osobistą wolność i prawo przenoszenia się z miejsca na miejsce, bez opowiadania się dziedzicom.

Tymczasem w ostatnich dniach maja generał Grochowski przeprawił się ze swojem wojskiem przez Wisłę pod Rachowem i ciągnął ku obozowi Kościuszki. Przerażeni tem Moskale, obawiając się by nie wzięto ich we dwa ognie, rozpoczęli odwrót ku rzece Pilicy, będącej wówczas granicą świeżo w r. 1793 zabranego przez Prusy kraju polskiego.

Kościuszko połączył się z generałem Grochowskim i w 15 tysięcy ludzi, po-

między którymi było kilka tysięcy kosynierów, ciągnął krok w krok za nieprzyjacielem, chcąc go przymusić do stoczenia bitwy. Ale generałowie moskiewscy chociaż mieli również 15 tysięcy żołnierzy, pamiętali jeszcze zanadto wzięte pod Racławicami cięgi i nie mieli ochoty do mierzenia się z naszymi. Uchodzili więc chyżo, zmierzając ku Żarnowcowi, miastu położonemu nad Pilicą, nieopodal którego spodziewali się zastać Prusaków.

Wojsko nasze szło za nimi i dosięgło ich wreszcie dnia 5-go czerwca wieczorem, nieopodal Szczekocin. Zmrok zapadał, deszcz lał rzęsisty, rozmokły grunt gliniasty utrudniał poruszenia. Niepodobna było w takich warunkach rozpoczynać bitwy. Nasi przeto rozłożyli się na noc w szyku bojowym naprzeciw nieprzyjaciela, zamierzając nazajutrz bój rozpocząć.

Tymczasem w nocy z dnia 5-go na 6-go czerwca 1794 r., Moskale porozumieli się z królem pruskim Fryderykiem Wilhelmem, stojącym z 20-ma tysiącami żołnierzy, koło Żarnowca, na lewym brzegu Pilicy i nakłonili go do połączenia się z nimi przeciw Kościuszce.

Naczelnik wiedział o pobycie Prusaków i ich króla pod Żarnowcem, upewniony jednak przez polskich agentów dyplomatycznych, że Prusacy nie mają zamiaru walczenia przeciw niemu, nie sądził, by się mieli połączyć z Moskalami, a to tem bardziej, gdy pomimo, iż generał Madaliński przetrzepał Prusaków, zaraz na początku powstania, w kilku potyczkach, ci siedzieli cicho i nie zaczepiali Polaków. Wkrótce okazać się miało, że czynili to przez fałsz i zdradę, ażeby sprawie naszej tem gorzej, bo niespodziewanie zaszkodzić.

W piątek, dnia 6 czerwca 1794 r., gdy Najwyższy Naczelnik rozpoczął bój z Moskalami, na prawem ich skrzydle pojawili się nagle Prusacy i powitali naszych gwałtownym ogniem armatnim.

Teraz miał Kościuszko do czynienia z 35-ma tysiącami nieprzyjaciół tak, że na jednego naszego wiarusa, było z okładem dwóch nieprzyjacielskich żołnierzy.

Inny mniej zdolny i odważny generał, byłby się uląkł takiej przemocy i zaraz z pola bitwy ustąpił. Nasz Naczelnik jednak, jako wódz doświadczony wiedział, że uczynić to znaczyło tyle, co pozbawić żołnierzy naszych wszelkiej otuchy i wiary we własne siły, a nadto narazić ich na nieochybną klęskę w odwrocie. Wydawszy więc stosowne rozkazy, stanął śmiało do nierównej rozprawy.

Na lewo i w środku ustawił artylerye i piechotę, na prawo kosynierów i jazdę, a w odwodzie, z tyłu, w rezerwie dywizyę generała Sanguszki ze wszystkich broni złożoną.

Prusacy i Moskale chcąc naszych młodych żołnierzy przestraszyć, sypali na nich ze swoich armat gwałtowny ogień, posuwając się równocześnie naprzód. Armaty te jednak pospiesznie i licho celowane, niewiele naszym czyniły szkody, podczas gdy nasze działa, kierowane przez wytrawnych kanonierów, strzelały wolno, lecz celnie, szerząc zniszczenie w nieprzyjacielskich szeregach.

Przecież chociaż straty nasze na początku bitwy były nieliczne, to jednak były zato bolesne. Pierwsze zaraz strzały nieprzyjacielskie położyły trupem generałów Wodzickiego i Grochowskiego. Generał Wodzicki, który znakomicie ułatwił Naczelnikowi rozpoczęcie powstania, z powodu choroby nie mógł wyruszyć z nim w pole i nie był obecnym pod Racławicami, poddawszy się jednak forsownemu leczeniu, wyzdrowiał o tyle, że mógł wsiąść na konia

i dnia 5 czerwca przybył wieczorem do obozu Kościuszki. Dnia 6-go, zaraz z początku bitwy, przyjechał konno przed regiment 2-gi piechoty naszej, noszący jego nazwisko i pod ogniem dział nieprzyjacielskich witał się z żołnierzami. W czasie powitania tego, czterofuntowa kula armatnia urwała mu głowę. Regiment rozżalony śmiercią ukochanego generała, nie czekając rozkazu rzuca się z bagnetami w dłoni na pruskie armaty; za przykładem jego idzie regiment 1-szy, dotknięty zgonem generała Grochowskiego. Oba regimenty posuwają się naprzód, jak burza. W szeregach regimentu 2-go pędzi sierżant Franciszek Derysarz. Kula armatnia urywa mu obie nogi — bohaterski wojak pada na ziemię, lecz niezgnębiony piekielnym bolem, wspiera się na lewym łokciu, prawą ręką podrzuca w górę kołpak i woła żegnając swych towarzyszy: „Bracia! brońcie ojczyzny! Śmiało brońcie! zwyciężycie!“

Regimenty zagrzane tak bohaterskim przykładem, zabierają pruskie armaty, ale obskoczone zewsząd tłumami Prusaków, muszą ustąpić. Tymczasem bój zacięty rozwija się na całej linii. Nasi walczą mężnie — Prusacy i Moskale nadarmo wytężają wszystkie siły, by posunąć się naprzód — nigdzie naszych przełamać nie mogą.

Słońce, przysłonięte dnia tego chmurami, skłaniało się już ku zachodowi, gdy nieprzyjaciele widząc, że artylerya ich i piechota nie mogą przemódz naszych, rzucają na nich jazdę.

Na nasze lewe skrzydło uderzają dwa pułki pruskich huzarów, na prawe 14 moskiewskich i kilka pruskich szwadronów rozmaitej jazdy. Szwadrony te wpadają jak uragan na kosynierów, którzy mężnie stawiają im czoło i sprawiają w ich szeregach rzeź straszliwą. Jazda nieprzyjacielska trupami swoimi zaściela pole — zaledwo garstka jej niedobitków, wyrwawszy się z trudem z bolesnych kos uścisków, pierzcha w dzikim nieładzie. Kosyniery ozłoceni promieniami zachodzącego słońca, które na chwilę z za chmur wyjrzało, wśród radosnych okrzyków ruszają naprzód. Okrzyk zwycięstwa przebiega wzdłuż całej linii polskich szeregów, poruszając ją naprzód, przebiega aż ku lewemu naszemu skrzydłu, ale tu cichnie, wobec udałego ataku huzarów pruskich, którzy okryci laskiem, podszedłszy niespostrzeżeni, zmuszają do odwrotu stojącą tutaj naszą piechotę i wpadają na tyły naszych wojaków.

Była to chwila nader groźna, niebezpieczeństwem brzemienna, lecz Naczelnik właśnie w takich chwilach, wśród największego niebezpieczeństwa najlepszym bywał wodzem. I teraz nie zawahał się, bo wiedział, co czynić należy. Stojącą w odwodzie dywizyę generała Sanguszki pchnął na huzarów, powstrzymał pędzących naprzód kosynierów i całemu wojsku dał rozkaz odwrotu.

Gdy się to stało już zmrok zapadał i tylko kwadra księżyca mdły blask przesiewała przez chmury, a Moskale i Prusacy śmiertelnie znużeni całodziennym bojem do ścigania naszych już sił nie mieli. Nasi cofnęli się zwolna drogą ku Warszawie wiodącą, którą i tak Naczelnik zamierzał pociągnąć po rozprawie z Moskalami.

Bitwa pod Szczekocinami nie była naszem zwycięstwem, ale przecież należy do dni chwały oręża polskiego, tak samo, jak słynna obrona Dubienki pod wodzą Kościuszki z roku 1792.

Inż. E. Śmiałowski.

PAPROĆ.

Paproć zakwita podług podania ludu w wigilię św. Jana, a kwitnie tylko godzinę. Ktoby tego kwiecia dostał, ten widziałby wszystkie skarby w ziemi i wiedziałby o wszystkiem na świecie. Atoli bardzo trudno dostać kwiecia paproci, gdyż złe duchy czynią wielkie przeszkody.

Żył raz dawnymi czasy w pewnej wsi gospodarz, mający starego ojca. Żona tego gospodarza była bardzo kłótliwą a nadewszystko nie mogła się wcale zgodzić z ojcem męża. Wciąż mu dokuczała, biła nawet staruszka. Stało się raz, że temu gospodarzowi zabłąkała się w lesie krowa. Na dworze było ciemno, wicher straszliwy dął przeraźliwie i deszcz padał rzęsisty, jednak owa niegodziwa niewiasta wyżgała starego ojca, aby poszedł do lasu szukać zgubionej krowy. Szuka biedak i płacze gorzko na swą dolę, ale krowy jak niema, tak niema.

Wtem zakwitła paproć, gdyż była to właśnie wigilia św. Jana. Kwitnęła cudnie paproć, blask nadziemski rozsiewając. Poskoczy starzec, aby zerwać kwiat złocisty, ale kwiat zleciał i wpadł w but biedakowi. Wiedział on zaraz gdzie krowa i widział w polu wielkie skarby. Zaprowadził czem prędzej krowę do domu, a poszukawszy rydla, poszedł w pole, aby skarby wykopać. Przecież aby śladów niepoznano, postanowił iść boso. Zezuł tedy buty, ale niestety wytrząsnął cudowne kwiecie, i już nie wiedział gdzie skarby. Daremnie skopał całe pole, skarbów już nie znalazł.

O glebie i nawozach.

II.

Znaczenie różnych składników gleby dla roślin.

Teraz zajmiemy się pytaniem, które składniki gleby służą do odżywiania roślin.

Przedewszystkiem wiemy, że rośliny mogą chłonąć z ziemi jedynie pokarm płynny, a więc karmić się mogą wyłącznie tymi składnikami gleby, które rozpuszczają się w wodzie.

Do takich rozpuszczalnych składników należy popiół, powstający ze zbutwienia próchnicy; sama próchnica nie rozpuszcza się w wodzie.

Piasek i glina są również nierozpuszczalne w wodzie, wapno natomiast, chociaż nierozpuszczalne w wodzie, rozpuszcza się w kwasach. Woda gruntowa zawiera nieraz tak zwany kwas węglany, gaz, który między innemi znajduje się w wodzie sodowej, piwie oraz innych napojach musujących; nadaje on wodzie smak lekko kwaskowatej i umożliwia rozpuszczanie się w niej wapna. Piasek i glina nie rozpuszczają się nawet i w kwasach.

Widzimy z tego, że ze wszystkich składników gleby roślina może korzystać jedynie z popiołu i z wapna i że tylko te dwie części ziemi rodzajnej mogą służyć do jej odżywiania, wszystkie inne bowiem są nierozpuszczalne i zatem nie mogą wcale wsiąkać do korzeni.

Ale w takim razie rośliny powinnyby się udawać najlepiej, będąc zasadzone lub zasiane w samym popiele, otrzymanym na przykład ze spalenia drzewa. Wniosek ten jednak pomimo pozorów słuszności, jest fałszywym, gdyż na samym popiele rośliny mia-

łyby pożywienie zbyt posilne, co również nie byłoby dla nich dobrem.

Zato można je hodować z doskonałym skutkiem bez próchnicy w doniczkach, napełnionych piaskiem z domieszką popiołu, jeżeli się je będzie należycie zaopatrywało w wodę, albo nawet w słojach z wodą, w których rozpuściliśmy należytę ilość popiołu. Wiadomo też powszechnie, jak dalece podnosi urodzajność ziemi posypywanie jej popiołem.

Na tem właśnie polega jeden z najgłówniejszych zalet gruntów czarnoziemnych, że zawierają one próchnicy, która zaopatruje glebę w odżywczy popiół.

Posiada ona jednak oprócz tego kilka innych bardzo cennych własności. A więc najpierw ma ona zdolności rownomierniejszego pochłaniania wody, która nie pozostaje na jej powierzchni, jak na gruncie gliniastym, tworząc bagna, ani też nie przesiąka przez nią tak szybko, jak przez piasek. Nie dość na tem próchnica w miarę potrzeby przyciąga i wchłania wilgoć z powietrza oraz z warstw głębszych. Żaden więc grunt nie bywa tak dobrze zaopatrzony w wodę, jak czarnoziem.

Woda gruntowa wypłukuje i rozpuszcza cząstki odżywczego popiołu. przenosząc je z jednego miejsca na drugie. Jeżeli następnie przechodzi przez piasek, sączy się przezeń bez żadnej zmiany, ale w próchnicy zostawi znaczną część rozpuszczonego popiołu, czarna bowiem ziemia posiada zdolność wchłaniania w siebie takich odżywczych części.

Trzecią wreszcie zaletą próchnicy stanowi to, iż nagrzewa się ona wprawdzie trudniej przez słońce, niż inne gleby, ale też zato i stygnie wolniej, dzięki czemu rośliny w niej są mniej narażone na nagłe przejście od gorąca w dzień do zimna w nocy, niż w innej ziemi.

Te wymienione własności są przyczyną ogromnego znaczenia próchnicy dla gleby. Dlatego to ziemia jałowa staje się żyzną, jeżeli ją nawozić, a tem samem ułatwiać tworzenie się na niej próchnicy, a następnie popiołu.

Tak samo przyczynia się do użyzniania ziemi bezpośrednie posypywanie jej popiołem.

Popiół więc stanowi główną odżywczą część gleby. Podobnież odżywcze znaczenie posiada i wapno. Piasek i glina nie nadają się wcale do odżywiania roślin, odgrywają jednak także ważną rolę w życiu roślin, a to dlatego, że zależnie od ilości, w jakich znajdują się w glebie, nadają jej rozmaite własności.

Grunta gliniaste ze znaczną przewągą gliny nad innymi składnikami, odznaczają się dużą zdolnością zatrzymywania wody, wskutek tego tworzą się na nich łatwo w czasie deszczów kałuże, nie wsiąkające przez dłuższy czas. W czasie długotrwałej posuchy, natomiast grunt taki ogromnie wysycha i tworzy twardą skorupę. Nagrzewa się on wogóle powoli, czyli jak się to mówi, jest zimny. Jest również ciężki do uprawy. Przy dostatecznej atoli ilości próchnicy może dawać dobre plony.

Grunta piaszczyste, jeśli składają się prawie z czystego piasku, są zupełnie jałowe, ale przy zawartości trzech czwartych piasku, mogą już dawać urodzaje. Grunta piaszczyste łatwo przepuszczają wodę i łatwo z tego powodu wysychają; prędko się ogrzewają i dają się łatwo uprawiać, są lekkie.

Jak widzimy, własności piasku i gliny są sobie wręcz przeciwne i dlatego najlepszymi bywają grunta, zawierające mniej więcej w różnych ilościach piasek i glinę, każdy bowiem z tych dwu

składników, wynagradza i równoważy braki drugiego.

Grunt wapienny ze znaczną zawartością wapna, koło trzech czwartych ogólnej ilości, spotykają się rzadziej i nadają się głównie dla niektórych roślin. Grunt marglowy należy również do wapiennych, ale niema w nim przewagi wapna i stanowi on mieszaniny gliny, piasku i wapna i posiada też własności pośrednie między gruntami piaszczystym, gliniastym i wapiennym.

Widzimy zatem, że składniki nierozpuszczalne gleby, chociaż nie mogą służyć bezpośrednio do odżywiania się roślin, posiadają jednak ważne znaczenie, bowiem nadają glebie różne własności, od których zależy mniej lub więcej pomyślne wzrastanie roślin, a także mniejszą lub większą łatwość uprawy.

Zawsze atoli do odżywiania roślin służą niepalne składniki, powstałe z butwienia próchnicy, a częściowo i wapno.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Polska i jej granice.

(Ciąg dalszy).

Różnica jest tak wielką, że ogólny wygląd kraju moskiewskiego bardziej jest podobny do stepowych obszarów północnej Ameryki, aniżeli do naszych niw polskich. Nie dziw, że kraje o tak różnej przyrodzie, wychowały tak niepodobne do siebie narody, jak polski i moskiewski. Do wychowania tego jednak przyłączyły się i inne jeszcze liczne przyczyny, jak pierwotna natura zamieszkujących je plemion i losy, jakie kraje te przebyły.

W krajach polskich, w nakreślonych wyżej granicach, sięgających ongi na zachód, od strony Niemiec, po rzekę Elbę, czyli Łabę, która dzisiaj tylko w górnym swoim biegu przerzyna kraj słowiański Czechy, a zresztą skrapia ziemie owładnięte przez Niemców, mieszkał od niepamiętnych czasów lud miłujący nadewszystko wolność i swobodę. Żył on swobodnie wśród swoich pól i lasów, zatrudniony polowaniem, rybołostwem, pasterstwem i rolnictwem. Z natury łagodny i spokojny, nie napadał sąsiednich narodów, nie trudnił się zaborami i grabieżą. Urodzajna ziemia dostarczała mu dosyć chleba, lasy aż nadto zwierzyny, wody ryb do syta, a pszczoły hodowane wśród borów, słodkiego miodu.

Pomimo tak spokojnego usposobienia, nie zbywało przecież praojcom naszym na męstwie i waleczności. Rozrzuceni po szerokich przestrzeniach swojej ziemi i podzieleni na gminy, które się same rządziły; gdy wróg im zagroził łączyli się ze sobą i mężny stawiali mu opór.

Wróg taki nie rzadko zjawiał się na niwach naszych. Różne ludy azyatyckie, dążące na zachód, przelewały się przez nie, niszcząc ziemię naszą i zmuszając jej mieszkańców do walki krwawej w obronie swojej wolności.

Azyatyckie ludy te jednak przeciągały przez kraj nasz niby burze wiosenne, nie pozostawiając po sobie dłużej trwających śladów. Dopiero w 9-tym i 10-tym wieku po narodzeniu Chrystusa, zagroził swobodzie praojców naszych, równocześnie niemal od wschodu i zachodu wróg stały, a niebezpieczny. Wrogiem tym od wschodu byli Normandowie, od zachodu Niemcy.

Normandowie, naród bitny zamieszkiwali kraj północny za morzem Bałtyckiem, zwany dzisiaj Szwecyą i Norwegią, Kraj to był skalisty, nieurodzajny, przez większą część roku

pokryty lodem i śniegiem, to też Normandom, w miarę jak się coraz bardziej rozmnażali, ciasno i głodno w nim było; więc się wyprawiali w różne strony świata, szukając sobie miejsca i chleba.

Niemcy zagrażający nam od zachodu, mieszkali w kraju pięknym i urodzajnym, żyźniejszym nawet od naszego; lecz z natury dzicy, krwi i zdobyczy chciwi, napadali pograniczne narody, mordowali je i łupili.

Normandowie przybywszy z głębokiej północy w drugiej połowie dziewiątego wieku po Chrystusie, opanowali w następnem stuleciu wschodnią część kraju przodków naszych, położoną pomiędzy rzekami Bugiem i Dniestrem, a Dnieprem; przezwali siebie i podbity lud Rusinami, od rodzinnej krainy swojej w Szwecyi, Ros zwanej i lud ten dotychczas wolny i niepodległy, zamienili w swoich niewolników, uciskając go srogo.

Szczęśliwszą była zachodnia część ojczyzny naszej, położona pomiędzy Niemnem i Bugiem, a Odrą; tu bowiem lud zawczasu skupiać się zaczął i wnet utworzył państwo polskie, które przez wieki całe zwycięsko odpierało zaborcze Niemców zakusy.

Inż. E. Śmiałowski.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

W odpowiedzi na list Szan. p. K. zabieramy głos

Któż jest bardziej litości godzien, jak człowiek przeniesiony nagle z wolności, powietrza, słońca, do ciemnej wilgotnej piwnicy więziennej, pozbawiony widoku i pociechy najbliższej ukochanej rodziny — a jeśli spotyka ta okrutna kara jeszcze takich, którzy działali najszlachetniej dla ludzkości, tylko czyny ich były w niezgodzie z panującą chwilowo ustawą społeczną, o wówczas zapewne drzwi okute więzień owych i kraty żelazne winne być otoczone w kwiatów girlandy — ale niestety, zamiast wieńca zasługi, spotyka ich najczęściej męczeństwo i grób przedwczesny — a są to groby bohaterów i bojowników wolności. Ale miłości, pełne serce ludzkie, ogarnia promieniem litości i te także posępne nieszczęsne głowy skazańców, którzy się dopuścili karygodnych hańbiących czynów — i tych w naszem pojęciu tylko prawdziwie nieszczęśliwymi nazwaćby można. Odepchnięci od łona rodziny, wyrugowani z ich pamięci, pogardzeni i skazani na straszniejsze częstokroć od ciemnicy zgryzoty sumienia — oto prawdziwa kara, jaka może spotkać człowieka nie zepsutego jeszcze zupełnie. Szlachetni filantropowie — to są ci, którzy kochają ludzkość, są jej przyjaciółmi, bez względu na jej złe czy dobre czyny, uczeni prawnicy, obrońcy, lekarze i myśliciele, po wszystkich krajach, jak nas uczy historya, pracują nad tem, a nawet majątki swoje przekazują, na ten cel, aby system czyli urządzenie więzień (o ile ich niestety koniecznie potrzeba, ulepszyć i poprawić tak, by kara ta zmierzała istotnie do swego celu, to jest, by więzienie takie stać się mogło istotnie miejscem dla opamiętania, skruchy i poprawy, nie zaś wielką szkołą zbrodni, lub otchłanią rozpaczy, straszniejszą nade śmierć samą. Takie urządzenia spotykamy już w Szwajcaryi, Anglii i Ameryce, zbyt niedostatecznie jeszcze w Austryi, a już wcale nie w Galicyi, dla braku funduszów.

Niesienia pociechy więźniom przez krewnych, przyjaciół lub ludzi litościwych w pewnych oznaczonych dniach, to o ile nam wiadomo, nie spotyka przeszkód ze strony władz sądowych, a tylko może dozorcy więzienni utrudniają mniej zamożnym przystęp, nie spodziewając się pożądanego wynagrodzenia.

Ale odwróćmy wzrok nasz od smutnej rzeczywistości, jaką jest konieczność budowania i ulepszania więzień na świecie, a przenieśmy się myślą w ową promienną szczęśliwą krainę ludzkości, w to prorokowane nam, Boże Królestwo na ziemi, gdzie już nie będzie zbrodni, ni kary, a idealny stosunek jednych ludzi do drugich, będzie oparty li na zrozumieniu najwyższego przekazania: „Kochaj bliźniego, jak siebie samego“. *A. B.*

Wieści ze świata.

Pierwszy sejm w Rosyi.

Na mocy Manifestu jaki car Mikołaj wydał w dniu 30. października 1905, zebrał się w Petersburgu pierwszy Sejm, w dniu 10 maja r. b., złożony z różnych narodowości i różnych warstw społeczeństwa, jakie Rosya ma pod swojem panowaniem.

Że Manifest ten wywołanym był w skutek rewolucyi, to pewno — kosztował on wiele krwi i ofiar, ale bez ofiar nic osiągnąć nie można. Teraz posłów czeka inna walka, nie orężem, lecz słowami walczyć muszą i zdobywać wolność słowa, prasy i byt lepszy.

Po nabożeństwie odprawionen w kościele katolickiem św. Katarzyny, posłowie udali się do królewskiego pałacu zimowego, a żeby przedstawić się carowi. Tu znów musieli wysłuchać nabożeństwa prawosławnego, poczem car odczytał mowę tronową.

Z krainy Czukczów.

W dalekich krańcach Syberyi, w stronach bardzo mroźnych, gdzie zima trwa 8 miesięcy, zamieszkuje plemię Czukczów. Naród to nieliczny, mający zaledwo około 80.000 głów, ale prawie niepodległy nikomu. Są bardzo biedni, więc podatków żadnych nie opłacają. Kraj ich należy do Rosyi, ale oni mają swoje sądy i naczelników, a innego rządu uznać niechcą. Zajmują się głównie chodowlą reniferów, zwierzęta te żywią ich i odziewają. Mleko od nich używają albo słodkie na świeżo, albo robią kumes, który gdy zamarznie w beczkach, może stać i kilka miesięcy. Mięso z renifera, solą, wędzą i chowają na czas dłuższy. Wszyscy chodzą obszyci w futra reniferów, które wkładają na siebie, nim jeszcze zaschną, szerścią na wierzch, tylko ręce i twarz mają obnażone. Każdy z Czukczów musi mieć duże stado reniferów, chcąc wyżywić swoją rodzinę, nieustannie muszą wędrować z nimi z miejsca na miejsce, wyszukując coraz nowego pastwiska. Żadne inne zwierzę domowe nie może żyć w tych zimnych krajach. Tylko renifer wytrzyma takie mrozy, żywiąc się mchem, który rogami z pod śniegu wygrzebuje. Niektórzy z Czukczów zajmują się także rybołowstwem w rzekach.

W roku 1904 w skutek jakiejś zarazy, padły wszystkie renifery hodowane przez Czukczów w jednej części ich kraju. Czukczuzi pozostali bez żadnego sposobu do życia, i w strasznej nędzy. Całą jednak zimę, żywiąc się byle czem, zdołali przetrwać, oczekując zkądkolwiek pomocy. Ale czekali nadaremnie; pozostawała im już tylko śmierć z głodu. Z końcem lata, roku zeszłego, cała ludność pozbawiona reniferów, zgromadziła się na wiec. Ojcowie rodzin, naradzali się cały dzień, co robić? bo sposobu do życia żadnego niema. Nareszcie zapadła straszna uchwała. Postanowiono nie czekać aż śmierć z głodu przyjdzie sama, ale, każdy z ojców rodziny, zobowiązał się pozabijać niezwłocznie wszystkich swoich, a w końcu samemu sobie życie odebrać.

Zgromadzeni Czukcze, tę straszną uchwałę ściśle wykonali. Nocą, przed nastaniem drugiego ranka, spełnili wszyscy co uchwalono, i miejsca, gdzie się wiec odbywał, obróciło się w wielkie, okropne cmentarzysko ciał nie pogrzebanych.

Tytoń.

Palenie tytoniu jest bardzo szkodliwem dla organizmu ludzkiego, a działa nie tylko na zdrowie ale i na umysł człowieka. Mężczyzna palący namiętnie fajkę

lub papierosy, staje się nerwowym, wszystko go drażni, irytuje, wreszcie robi się ociężałym, to jest ciężko myślącym bałwanen i nieznośnym w pożyciu domowym. Są to wszystko skutki nikotyny, to jest trucizny, którą tytoń w wielkiej ilości w sobie zawiera. Namiętność palenia tytoniu idzie w parze z nałogowem pijaństwem, a często te straszne dwa nałogi, łączą się w jednym osobniku. I jakież są tego następstwa? Najporządniejszy człowiek gdy popadnie w ten nieszczęsny nałóg, traci zdrowie, majątek, szacunek u ludzi, a w końcu staje się wrogiem własnej rodziny, bo dzieci jego już na świat przychodzą z zarodkiem chorób nerwowych, są wątłe i przez to społeczeństwo nasze karłowacieje. A dzieci nasze, to przyszłość nasza, to odrodzenie narodu naszego. Matki powinny starać się wychowywać dzieci swoje zdrowo, bo tylko w zdrowym ciele, może być zdrowa i silna dusza.

Ile trucizny zawiera w sobie tytoń, udowadnia nam pewien lekarz, który zrobił następującą próbę:

Zaprosił do siebie nałogowego pijaka i namiętnego palacza. Ile wódki potrzebujesz wypić, ażeby się upić, zapytał pijaka. A gdy ten mu odpowiedział ile, wziął taką samą ilość i wlał psu do gardła a pies zaraz zdechł. Teraz widzisz, jaką truciznę pijesz, powiedział pijakowi. Następnie wziął palaczowi fajkę z ręki, wypłukał z niej i z cybucha sok i wlał go do gardła innemu psu, który także zaraz zdechł. Widzicie co palicie? powiedział palaczowi.

Narzekają ludzie, że teraźniejszy wiek jest wiekiem nerwów, i dlatego ludzie tak na nerwy chorują. A co jest tego powodem? głównie nikotyna, bo chłopięta małe, ledwo to od ziemi odrośnie, już wykrada ojcu odrobinę tytoniu, i skręca z tego papierosa. Gdy dostanie od kogo grosz jaki, zamiast cukierków, znów papierosa kupuje i tak już od dzieciństwa zaprawia się do palenia. — Może niejeden powiedzieć, że kobiety nie palą tytoniu, a także są nerwowe. Tak jest, święta prawda, i kobiety teraz są nerwowe. Ale kobiety i dzieci chociaż same nie palą, muszą siedzieć w tych stancyach przepełnionych dymem tytoniowym i wdychają w siebie niewiele mniejszą ilość nikotyny od tych, którzy sami palą, a szczególnie dym taki zabójczym jest dla małych dzieci, które nie umieją jeszcze zaradzić sobie, żeby nie wchłaniać tak szkodliwego dla ich zdrowia dymu fajczanego. *W. C.*

Na Saksy.

Pod tem hasłem wychodzi u nas teraz co roku tysiące młodzieży obojga płci, zdążając na roboty do Prus.

Trudno się dziwić tym, którzy niemając zarobku tutaj albo bardzo mały, jadą do Prus, żeby sobie przyspożyć grosza. Ale nie wszyscy tego tak koniecznie potrzebują. Widząc nieraz całe gromady młodych dziewcząt, przypatrujących się wystawom sklepowym, wdaję się z niemi w rozmowę i przekonywuję się, iż wiele z nich jest córkami gospodarzy, może mniej zamożnych, ale które mogłyby się obejść bez wyjazdu do Prus, bo i w swoim dworze miałyby zarobek. Chęć zysku, chęć zdobycia pieniędzy goni ich w świat, bo każda się chwali, że stówkę przez lato zarobi. Ale ile straci na tem, tego nie oblicza. Najprzód, ujmuje rodzicom dwie ręce młode i silne do pracy, którzy potem muszą albo sami ciężko pracować, a często i przynajmować kogo do pomocy, bo starzy i rady dać sobie nie mogą. Niemcy wprawdzie dobrze płacą ale też i roboty dobrej wymagają i próżnować nie dadzą. A co się muszą na-

poniewierać, sypiając w jakiejś stodole, garść słomy mając za posłanie, ani się czem przykryć w czasie chłodnych nocy. A najgorsze, jakie zasady niemoralne z sobą przynoszą? Ileż to dziewcząt młodych traci swoją dziewiczość w tem ciągłem obcowaniu z mężczyznami, niemając żadnej opieki starszych nad sobą. A ile zarodków różnych chorób z sobą przynoszą. Matki! powinnyście więcej czuwać nad waszemi córkami, by kiedyś i one same nie czyniły wam wyrzutów, żeście im nie broniły iść na niechybną zgubę, i przed Bogiem trzeba będzie zdać rachunek, jak pilnowałyście dziecko powierzone waszej pieczy. Ojcowie powinni także czuwać nad swymi synami, a szczególniej nad tymi, którzy z roboty wracają, albo z wojska na urlop przychodzą. Wiadomo, iż w wojsku strasznie rozpowszechnione są choroby zakaźne. Ileż to kobiet potem pada ofiarą tej strasznej choroby, setki dzieci umiera przychodząc już na świat z zarodkiem tej nieuleczalnej choroby. Rodzice powinni dbać o to, żeby dzieci ich popadłszy w taką chorobę, radykalnie się z niej leczyli, zasięgając rady doktora, nie żadnymi środkami domowymi, bo na to, nikt prócz doktora nie poradzi, chociaż i takie wyleczenie nie jest pewne. *W. C.*

Okrucieństwa wojny.

Jedna z sióstr miłosierdzia, która niedawno powróciła z Dalekiego Wschodu, podaje w jednym dzienniku nieznane dotychczas, a grozą przejmujące szczegóły, o obchodzeniu się z rannymi żołnierzami rosyjskimi, a mianowicie:

Przedewszystkiem, dotkliwie dawał się odczuwać brak ruchomych oddziałów sanitarnych. Rannym pomagali swoimi środkami żołnierze, i to oczywiście według możności. Nad wyraz bolesnem było brać udział w zbieraniu rannych po jakiejkolwiek większej potyczce. Znoszono ich zazwyczaj na jedno miejsce i umieszczano w wagonach, gdzie musieli nieraz całymi dniami w ciasnocie, wśród straszliwych cierpień wyczekiwać przybycia lekarza. Po bitwie pod Sahaho, wielu pozostawionych na pobojowisku rannych, rozszarpały zgłodniałe psy, z poblizkich zniszczonych wiosek chińskich. Po bitwie pod Sandepu, gdzie z 40.000 Rosyan, pozostawiono na pobojowisko 14.000, zaszedł fakt niesłychany a dotąd jeszcze nie znany, bo użyto wszelkich środków, aby go zataić. Mianowicie 1.200 rannych zniesiono na tor kolejowy, ułożono ich na śniegu i pozostawiono przez 24 godzin pod gołem niebem, podczas ostrego mrozu. Nieszczęśliwi błagali rozpaczliwie o pomoc, niektórzy zebrawszy ostatki sił, błąkali się z miejsca na miejsce, szukając ciepłego schronienia, niestety nadaremnie. Wszyscy 1.200 zmarli. Fakt ten stwierdził pułkownik Fiedorów, a dowódca oddziału sanitarnego odebrał sobie życie, bojąc się odpowiedzialności.

Głód w Rosyi.

I znów przeszło sto powiatów nawiedzonych jest klęską głodową, a urodzaje tegoroczne zapowiadają się tak nędzne, iż niema nadziei, żeby i po zbiorach byt włościan się polepszył. Od wielu lat trwa to już rok rocznie, że w Rosyi głód panuje, a ludność tamtejsza uskarża się ciągle na nieurodzaj zboża. Wielu ludzi dobrze myślących, którym polepszenie bytu włościańskiego leży na sercu, zaczęli bliżej badać tę sprawę, co jest właściwie powodem tego ciągłego nieurodzaju, bo ludność rosyjska skarży się, iż ziemi ma zamało i dlatego cierpi głód, bo nie może wyżywić swych rodzin. Teraz dopiero dowiadujemy się, jaki jest powód tego ciągłego nieurodzaju. Włościanin rosyjski ziemi

ma dosyć, jak się pokazało, i mógłby z niej najliczniejszą rodzinę wyżywić, gdyby tę ziemię uprawiał tak, jak uprawiają nasi włościanie. Ale mużyk rosyjski to jeszcze człowiek prawie na pół dziki, niemający żadnej oświaty, nie słyszał nigdy co znaczy wyraz kultura. Tę ziemię ojczystą, która go swym chlebem żywi, nie uprawi jak się należy, ale w jesieni lub na wiosnę zorze ją jak bądź, wrzuci w nią ziarno a resztę Panu Bogu zostawia, „jak Bóg da, to się urodzi", to cała ich filozofia, i leży całymi tygodniami na piecu, nic nie robiąc. Jak ma zaco, to kupuje horyłkę (wódkę) i pije, pali fajkę, i na takim próżniactwie schodzi im życie.

Wielu wyższych urzędników rosyjskich mają także duże obszary ziemi w Rosyi, ale urzędnik taki nie mieszka w swej włości, sam nią nie zarządza, bo na to niema czasu, bo musi pilnować swego urzędu, więc robią tak, iż wielkie obszary ziemi wydzierżawia chłopom, którzy za czynsz dierżawny dają mu połowę plonu. U nas włościanin z pewnością umiałby tę ziemię wykorzystać, i sam miałby dosyć i właściciel nie byłby pokrzywdzony, ale tam, gdy tej ziemi nic nie uprawi, to zdarza się często, iż nie zbierze z niej tyle, ile w nią wrzucił, więc narzeka i skarży się na nieurodzaj.

Duma w Petersburgu radzi nad tem, żeby włościanom rozdać więcej ziemi. Posłowie jedni uradzili, żeby rozdać im wszystkie grunta rządowe i klasztorne. Trzeba wiedzieć, że w Rosyi klasztory są bardzo bogate, więc bez ziemi obejśćby się mogli. Ale inni posłowie z partyi rewolucyjnej żądają, żeby wszystką ziemię panom odebrać i rozdać chłopom. Dziś, gdy na wsi głód, to wieśniak idzie do dworu i od pana dostaje trochę zboża na odrobek, i tak żywi się aż do nowego zbioru. A gdyby wszystką ziemię rozdać wieśniakom, a oni zaczęliby po swojemu gospodarować, to te całe ogromne obszary wnetby się zamieniły w pustynie, na którychby rosły dzikie osty i burzany, a ludzie umieraliby z głodu. Trzeba najprzód wprowadzić oświatę do ludów rosyjskich, trzeba pozakładać szkoły, których tam wcale niema, trzeba ich od dzieciństwa uczyć jak mają żyć, gospodarować, to w dalekiej przyszłości i w Rosyi może być dobrze, ale na to potrzeba poczekać kilkadziesiąt lat, aż młode pokolenie dorośnie, bo stary, na pół dziki mużyk rosyjski, jest zanadto gnuśny i leniwy, żeby mógł i chciał czego się nauczyć.

W. C.

Pogawędka gospodarska.

L. Hałacińska.

Na początku tego miesiąca można jeszcze sadzić późniejsze odmiany kapusty i cebuli, siać rzodkiewkę, ogórki na korniszony odmiany gruntowe, sałatę gruntową, groch, fasolę szparagową, rzepę letnią i zimową rzodkiew. Rozsadzać sałatę, pomidory okopać i opalikować, kto ma wczesne pomidory i zawiązały się już owoce, to przeglądać gałązki i ustrzykiwać je ponad ostatnim wyraźnym owocem, gałązki bez owoców lub też z nikłymi owocami całkiem odcinać, okopać i przesadzić kapustę, groch, fasolę, bób. Około ogórków ziemię wzruszyć. Wszelkie wzruszenie

ziemi, okopywanie, pielenie najlepiej wykonywać po deszczu, kiedy ziemia jeszcze wilgotna. Wysadki nasienne palikować. Tępić pilnie jaja i gąsienice motyli. Największą pracą, jaka w tym miesiącu jest w ogrodzie, jest pielenie i podlewanie. Pielić trzeba bardzo starannie, nie dozwolić, aby chwast w miejscu wyrósł, zakwitł i nasienie wydał. Nie powinno się również wyplewków zostawiać na grządce ani też między grządkami, bo wyplewki, mając korzenie, napowrót wrastają w ziemię. Prócz tego zbiera i lągnie się w nich robactwo, dlatego też najlepiej jest zaraz po wypieleniu zbierać wyplewki i odnosić na oborę lub na gromady kompostowe.

Różne wady i psucie się mleka.

(Ciąg dalszy).

Jeżeli krowa doi mlekiem czerwonem, to gosposie nasze utrzymują, że im czarownica krowę urzekła. Środek zaś, jaki na odczynienie uroków mają, jest podkadzanie krów święconem zielem. Jest to środek bardzo niewinny, bo co prawda to nie zaszkodzi on, ale i nie pomoże. Możnaby tylko zarzucić podkadzanie krów ze względu na bezpieczeństwo, bo ileż to już razy przez takie podkadzanie spłonęło całe domostwo. Nie trzeba więcej tego czynić, bo niech tylko jeden węgielek z garnka lub czerepka wypadnie w podściółkę, lub niech jedna iskra wpadnie w słomę lub w siano, a już może być bieda. Czarownica krowy nie urzecze, bo czarownic na świecie nie ma.

Zaś każda brudna, niechlujna gospodyni sama przez swoje niedbalstwo krowy czaruje. U takiej gospodyni krowy i naczynia mleczne brudne, stajnia śmierdząca, więc mleko żadną miarą dobre być nie może i muszą się lągnąć i wytwarzać najrozmaitsze żyjątka. Wiele z nich powoduje zabarwienie mleka na czerwono, a rozwija się także w pieczywie jak w chlebie, bułkach i t. p. Mleko, zawierające takie żyjątka, kwaśnieje i ścina się pomału, staje się coraz więcej płynnem, a na wierzchniej warstwie śmietany występują czerwone plamy. Tworzą się one jednak tylko na śmietanie, a nigdy na mleku. Plamy te czerwone zamieniają się pod wpływem kwasów na fioletowe a pod wpływem alkalii żółkną lub stają się zupełnie bezbarwnemi. Bywają jednak wypadki, że nie tylko śmietana ale całe mleko jest zaczerwienione i tylko słabo i zaledwie miejscami zsiadłe. Śmietana jest wtedy ciemnoczerwonawo-żółta, twaróg krwisto-czerwony, a na dnie naczynia osadza się bezbarwny sernik. Czerwony kolor, barwiący mleko, jest daleko silniejszym od poprzedniego, szczególnie silny jest w ciemnych miejscach, nie rozpuszcza się we wodzie ani spirytusie. Również zabarwiają mleko na czerwono niektóre drożdżaki. W tych wszystkich wypadkach najlepszym środkiem zaradczym jest czystość. Jak najdokładniejsza dezinfekcya miejsca, w którem się mleko przechowuje. Dezinfekcya wszystkich naczyń, dokładna dezinfekcya całej stajni i ciągła jak najdokładniejsza czystość pomieszczenia, naczyń, osób pracujących około mleka, bydła i stajni. Jest to jedyny a ani trudny ani kosztowny środek na usunięcie tych czarów.

Zdarza się też, że krowa z innych powodów krwią doi, że utworzył się wrzód we wymieniu lub z wielkiej krwistości, nie należy więc pomieniać tamtych przyczyn z tymi. Na wypadek wrzodu, to najlepiej mleka przez parę dni nie brać do użytku, wymię wcierać niesolonem masłem, ślazową maścią lub maścią siarczaną.

Prócz czerwonego mleka, zdarza się

jeszcze mleko żółte, bakcyl, który to zabarwienie powoduje. Pod wpływem tego bakcylusa mleko kwaśnieje, staje się silnie alkalicznem, przybiera ciemnożółty kolor, szczególnie mleko gotowane. Barwik ten rozpuszcza się w wodzie. Są jeszcze i inne mikroby czyli żyjątka, barwiące mleko na żółto, ale jedynym racyonalnym środkiem na nie jest taka sama czystość i dezinfekcya jak przy mleku czerwonem.

(Dokończenie nastąpi).

ROZMAITOŚCI.

Znahor. W pewnej wsi w Królestwie zjawił się oszust, udający lekarza, i to nie byle jakiego, bo głosił, że niema takiego chorego, któregoby on nie wyleczył. Ale najwięcej leczył na oczy. Gdy wiadomość o takim lekarzu się rozeszła, zaczęli się do niego zjeżdżać ludzie z całej okolicy. Jeden gospodarz już 20 lat jak nie widział na oczy, a ten go obiecał wyleczyć. Prawdziwych, uczonych lekarzy przezywał odrzywołami, że to niby ludzi jak woły ze skóry obdzierają. Gdy już miał kilkunastu chorych, pobrał od nich po kilka rubli na lekarstwa, i umówił gospodarza u którego zamieszkał, żeby z nim pojechał do miasta, do apteki. A że było zimno, więc prosił o pożyczenie mu futra na drogę. Gdy zajechali przed aptekę, wysiadł, a gospodarzowi kazał czekać. Ten czeka godzinę, dwie, nareszcie pięć godzin, a doktora jak niema tak niema. Dopiero zmiarkował co się zrobiło. Poszedł do kilku mieszczan, i obiecał dobry poczęstunek, jeżeli mu pomogą wynaleźć oszusta. Porozstawiali stróży po ulicach i dalej szukać po domach. Długo szukali, aż wreszcie znaleźli ukrytego w łóżku u żyda, przykrytego pierzynami. Struchlał oszust ze strachu, iż słowa wypowiedzieć nie mógł, wreszcie zaczął prosić, żeby go tylko nie bili. Zmuszony był oddać wszystkie pieniądze i futro, a otrzymawszy na drogę trochę plag, powędrował w inne okolice szukać szczęścia i oszukiwać ludzi.

Żywcem spalona. Pewien gospodarz we wsi Średniówce, robił drzwi do komory. Gdy skończył robotę, żona jego podmiotła wióry, pod ławkę przy piecu, rozpaliła ogień w piecu, i poszła do stodoły po mąkę. Przed wyjściem posadziła na ławce koło pieca córeczkę, i kazała jej siedzieć spokojnie, żeby nie spadła, bo w chałupie nie było nikogo. Widocznie z pieca wypadła iskra, od której zajęły się suche wióry, i w jednej chwili zrobiło się ognisko pod ławką, na której dziecina siedziała. Gdy matka nie bawiąc długo, wróciła do izby, zastała maleństwo całe w płomieniach. Porwała na ręce palącą się dziewczynkę i krzyczy. Przybiegł i ojciec, ratowali oboje, ale już nic nie pomogło. Po czterech godzinach dziecina w strasznych męczarniach zakończyła życie. Ileż to takich nieszczęść zdarza się po wsiach, a najczęściej przez niedbalstwo matek, które małe dzieci same w domach zostawiają.

Piorun. We wsi Mistorowicach na Śląsku w okolicy Cieszyna był pogrzeb gospodarza Macieja Farnego. Ludzie stali na cmentarzu, gdy zerwał się wicher. Niebo pokryło się czarnemi chmurami, i lunął deszcz ulewny z grzmo-

tami. Wszyscy uczestnicy pogrzebu schronili się do małej kapliczki cmentarnej, w której zrobiło się ciasno. W tem zajaśniało okropnie i wszyscy padli na ziemię. To piorun uderzył w kapliczkę. Po chwili ludzie zaczęli się podnosić, ale nie wszyscy, pokazało się iż 13 osób zostało zabitych od pioruna.

Burze. Rok bieżący obfituje w burze i grady. Już w kilkuset miejscowościach wyrządził grad szkody, wybijając prawie doszczętnie oziminy. Ci gospodadarze, którzy ubezpieczyli sobie zboże od gradobicia, nic nie stracą, bo jarzyny dotąd nie ucierpiały a za ozіminę wezmą pieniądze, i jeszcze tatarki nasiać mogą, ale biedni ci, którzy nieubezpieczyli, tam tylko jarzynami muszą się zadowolnić, a na zasiew i zimę zboże kupować.

Bomba w Warszawie. Znany z przeszłorocznych wypadków oficer policyjny Konstantynow w Warszawie, dawno już dostał doręczony od rewolucyonistów wyrok śmierci. Dotychczas jednak jakoś mu uchodziło, aż oto w dniu 14 maja Konstantynow stał wieczorem w miejscu bardzo ruchliwem, na rogu ul. Marszałkowskiej i Świętokrzyżskiej, stał z policyantami i kilku żołnierzami, którymi się zawsze otaczał. Nagle podszedł do niego jakiś człowiek i rzucił mu bombę pod nogi. Wybuch był straszny. Konstantynow został w kawałki rozerwany, które to cząstki tak daleko się rozleciały, iż na dachu dwupiątrowej kamienicy znaleziono jedną stopę jego. Prócz tego ośm osób poraniło, lecz nie bardzo ciężko. Natychmiast po wybuchu żołnierze zaczęli strzelać na wszystkie strony do ludzi idących, przyczem czterech ludzi zabili, a kilka osób zostało od kul poranionych.

Z Inflant. Ruch rewolucyjny u Łotyszów w Inflantach i w Kurlandyi znowu zaczyna się wzmagać. Niedaleko od miasta Rygi, Łotysze wpadli na obozującą rotę wojska, związali żołnierzy stojących na warcie i zabrali 81 karabinów. W dniu 15 maja kilkunastu ludzi uzbrojonych, napadło na stacyę drogi żelaznej Szalk. Zabito tam żandarma stójkowego, naczelnika poczty, pisarza oraz znajdującego się tam przypadkiem oficera artyleryi. Pieniądze z kasy pocztowej i kolejowej zrabowano. Z Rygi wysłano w pogoń za napastnikami, 2 roty wojska.

Najstarsze zwierzę na świecie. W ogrodzie zoologicznym w Londynie, zmarł olbrzymi żółw, najdawniejszy mieszkaniec tego ogrodu, a może najstarsze zwierzę na kuli ziemskiej. Żółwia tego przywieźli do Europy Hiszpanie w XVI. wieku, a według zapisków najpewniejszych, żył on co najmniej 400 lat.

Wesele króla Hiszpańskiego. Alfons, młody król hiszpański, ożenił się z księżniczką Battenberg. Kiedy orszak weselny powracał już z kościoła, tłumy narodu zapełniające po bokach wszystkie ulice, radośnymi okrzykami witali młodą parę; w tem z jednej kamienicy z drugiego piętra rzucono bombę na powóz królewski, huk stał się okropny, wszystkie powozy stanęły, a skutki wybuchu były straszne: Powóz królewski z przodu strzaskany, woźnicy urwało głowę, konie zabite lub pokaleczone. Naokoło 24 osób zostało zabitych a 60 rannych, z których już także kilka osób umarło. Tylko para królewska, jakby cudem ocalała. Król dostał ułamkiem w piersi, ale tylko order został uszkodzony.

Policya londyńska doniosła, iż w Londynie anarchiści zrobili naradę, żeby w dniu wesela pozbawić życia młodą parę królewską. Pięćdziesiąt anarchistów wyjechało z Londynu na to wesele, chcieli oni wejść do kościoła i tam rzucić bomby, żeby wraz z kościołem cały orszak weselny zginął. Policya

madrycka nie wpuściła nikogo obcego do kościoła, i zamach się nie udał. Najwyraźniej tylko cudem Bożem para królewska ocalała. Sprawcy dotąd nie schwytano.

Zamknięcie fabryk. Dnia 20 kwietnia zamknięto dwie fabryki w Pabjanicach nie wiadomo na jak długo, a powodem do tego były ciągłe bezrobocia robotników i żądania powiększenia płacy. Pozostało przez to bez zarobku dwa tysiące ludzi. Z tego samego powodu zamknięto 10 maja fabrykę Hojnicza w Łodzi, i znów dwa tysiące ludzi zostało bez zarobku. W Warszawie kilka tysięcy ludzi jest bez zarobku z powodu zamknięcia fabryk.

Zamiast uciechy, boleść. Franciszek Kluczny, młodzieniec lat 24, we wsi Przybyszowice w Królestwie, umyślił dać podczas rezurekcyi na Wielkanoc kilka strzałów z moździerza. Kupił w mieście proszku cali chloricum i siarki, i wziął się w wielką sobotę do robienia nabojów. Wsypał te proszki do garnka żelaznego i zaczął mięszać czemś twardem. Aż tu jak huknie, jakby piorun trzasł. Całą chatę rozbiło, drzwi, okna i wszystkie sprzęty pogruchotało w kawałki. Franciszek został strasznie pokaleczony, połamało mu ręce, wypaliło oczy. Męczył się biedak cztery godziny, wreszcie Bogu ducha oddał.

Uwolnienie więźniów. W dniu 13 maja po nadejściu z Petersburga wiadomości o naradach w sejmie nad sprawą zupełnego uwolnienia z więzień i od kar wszystkich tak zwanych przestępców politycznych, rozesłano z Warszawy polecenie urzędowe do naczelników powiatowych i gubernatorów wojennych, aby niezwłocznie wypuszczono z więzień wszystkich skazanych przez władzę bez sądu, za niektóre drobniejsze wykroczenia, oraz wszystkich trzymanych w więzieniu, bez wiadomych dokładnie a dostatecznie powodów.

Zabójstwa rozpowszechniły się w tych czasach jak nigdy jeszcze. Mało kto po wsiach ma broń, dziś zwłaszcza podczas stanu wojennego, więc rabusie korzystają z tej bezbronności mieszkańców i rozbijają po drogach i dworach. Wpadają do mieszkań, grożąc strzałami lub nożami, albo strzelając, wymuszają okup, lub rabują co się da. Zatrzymują podróżnych na drogach, a nawet i na ulicach Warszawy. Na drodze do Ostrołęki jadących kupców po towary napadło 10 zbójów, zatrzymali wóz i obrabowali ich z wszystkich pieniędzy. Jednemu zabrano 700 rubli, drugiemu 400. Jednego z podróżnych, że się bronił, poraniono strzałami z rewolweru. W innem miejscu, w bliskości Skierniewic, napadli zbóje na powóz, w którym jechał właściciel ziemski, strzałami z rewolweru zabili jego siostrzenicę, młodą matkę dwojga niemowląt, a jego samego ciężko poranili, zabrawszy wszystkie pieniądze, umknęli. Trzech tych rabusiów niezadługo schwytano.

PYTANIA I ODPOWIEDZI.

Krwawy mocz tak zwana choroba lasowa. Choroba lasowa pojawia się u bydła w miesiącu czerwcu i lipcu, w okolicach górzystych i lesistych. W czasie, kiedy kwitną drzewa szpilkowe i olchy, można widzieć, jak pączki drzew i krzaków pokryte są żółtym, żywicznym proszkiem. Proszek ten odpada na trawę

i wodę, a spożyty w większej ilości przez bydło, działa trująco i powoduje zapalenie kiszek, żołądka i nerek. Najczęściej zapada na tę chorobę bydło, urodzone na nizinach a sprowadzone w okolice górzyste. Zaś bydło, urodzone w okolicy lesistej, przyzwyczaja się do tej paszy i mniej zapada na tę chorobę. Chcąc uniknąć tej choroby, trzeba pilnie uważać na bydło, a jeżeli się tylko cokolwiek krwawy mocz spostrzeże, natychmiast paszę zmienić.

Pierwszym objawem tej choroby jest zatwardzenie, bydlę wydala kał z natężeniem, kał jest twardy, zapieczony, prawie czarny. Mocz wydziela krwawy i w małej ilości wśród bólu, bydlę traci apetyt i gorączkuje. Naciskając okolicę nerkową, bydlę czuje znaczny ból. Jeżeli zmieniliśmy paszę, a choroba pomimo to po kilku dniach nie ustaje, ale się wzmaga, to zły znak, że zwierzę już z tej choroby nie wyjdzie. Zmieniając paszę, trzeba dać paszę łatwo strawną i rozrzadzającą kał, jak paszę zieloną (ale nie z lasu) tylko łąkową, dalej ziemniaki, buraki, piło z śrutowanego owsa lub jęczmienia. Na wypadek zatwardzenia trzeba do każdego piła dodać 3 do 4 łyżek tłuczonej soli glauberskiej. Na grzbiet w miejscu, gdzie są nerki, przykłada się glinę rozrobioną w wodzie, odmieniając ją często. Nigdy zaś w takim wypadku nie puszczać krwi, a szczególnie w późniejszym czasie choroby, kiedy bydlę jest i tak już osłabione, to puszczenie krwi może działać bardzo szkodliwie.

Ser zwyczajny. Zebrawszy śmietanę z kwaśnego mleka, stawia się garnki z kwaśnem mlekiem na bardzo umiarkowanem cieple, najwyżej na 40° R. Gdzie często chleb pieką, tam najlepiej jest garnki z kwaśnem mlekiem wstawić w piec po chlebie. Gdy się już zupełnie serwatka oddzieli, wyjmuje się garnki z pieca, stawia się je w miejscu chłodnem do zupełnego ochłódnięcia. Następnie zlewa się twaróg w czyste, kończaste z grubego płótna zrobione woreczki i wiesza się je tak, aby serwatka zupełnie odciekła. Gdy już serwatka odciekła, należy worek zawiązać i przez worek twaróg dobrze na czystym stole wyrobić, tj. worek z twarogiem dobrze wygnieść, wywałkować, aby nie było grubych grudek. Następnie kładzie się worki z twarogiem na pochyło ustawionej desce lub stolnicy, przyciskając drugą deseczką i kamieniem najpierw lekko, później coraz silniej. Po upływie 12 godzin ser wyjmuje się z worka, soli się go lekko i suszy, w zimie w blizkości pieca, a w lecie najlepiej w miejscu przewiewnem. Chcąc ser dłuższy czas przechować, to trzeba go najpierw dobrze osuszyć, potem ułożyć w gliniane garnki i przełożyć słomą lub sianem. Jeżeliby zaczynały pleśnieć, to trzeba je obmyć serwatką i świeżą słomą lub świeżem, suchem sianem przełożyć. Można je także trzymać na półce, nie układając w garnki, zawsze jednak; czy już układamy sery w garnki lub nie, to muszą one być w bardzo czystem, przewiewnem miejscu przechowane.

Ciasto kruche pod placki lub leguminy. Funt mąki, pół funta masła wypłukanego i wytartego z wody w czystej serwecie lub ściereczce, łyżeczkę sody (aptecznej), 2 całe jaja i 3 żółtka. To wszystko razem zagnieść na stolnicy na dosyć tęgie ciasto, zagniatać trzeba prędko i w miejscu chłodnem, aby się masło od ciepła ręki nie rozpuszczało, bo ciasto stałoby się więcej łykowate, następnie rozwałkować na pół cmt. grubo i ułożyć na blasze, posmarowanej lekko masłem, i wstawić w gorący piec na kwadrans. Gdy już będzie na dopieczeniu, tj. gdy się zacznie rumienić, wystawić, nałożyć konfitur, powidełek, marmolady z jabłek lub inną, lub sera, nałożyć można na grubość palca lub więcej i wstawić napowrót do pieca na kwadrans. Wyjąwszy z pieca, pokrajać w kawałki póki gorące, bo, jak wystygnie, nie da się dobrze pokrajać.

Fasolka zielona. Młodą, zieloną strączkę fasoli drobno poszatkować, wrzucić w gotującą się wodę, dobrze osolić i gotować na mocnym ogniu 10 minut, potem odlać przez durszlak, przelać zimną wodą, wrzucić na zagotowane masło z odrobiną mąki, wsypać trochę pieprzu i gotować. Zamiast mąki można wsypać garść tartej bułki, a będzie nawet lepiej.

Na resztę pytań odpowiemy w przyszłym Nrze „Przodownicy".

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie.
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.



MATKA BOSKA OPIEKUNKA SKOWRONKA.

Dodatek do Nru 6 „Przodownicy“ z r. 1906.

Pójdę na jarmark!

(Jadwiga z Łobzowa).

(Dokończenie.)

Witam się więc z panem majstrem z Chrzanowa i pytam.

— Drogie kapelusze?

— Moja pani! co dobre, nie drogie, co liche, zawsze przepłacone. Dawniej nas było w Chrzanowie kapeluszników 80-ciu! Jeździliśmy po całym kraju... czeladników pełno... roboty nie można było nastarczyć, a teraz, przez tych Niemców, Prusaków i żydów zeszliśmy na to, że tylko ja jeden, ja ostatni został się i ledwo wyżyję.

— Tandeta obca zabiła krajowe wyroby.

— Nieinaczej. Każdy idzie do żyda, bo tam za 3 lub 2 korony dostanie kapelusz niemiecki z wstążką, z piórem, a u mnie musi zapłacić 5—6 koron; ale w moim kapeluszu będzie chodził 3—4 lata, a w tym niemieckim ani pół roku nie dochodzi.

Gadu-gadu z poczciwym kapelusznikiem, a tu już i wieczór się zbliża, trzeba myśleć o powrocie do wsi.

Na jarmarku zaczyna się robić coraz głośniej. I ci co sprzedawali i ci co kupowali wzajem się traktują po szynkach. Niejedna głowa już wódką zamącona tak, iż nie wie, co się z nią dzieje, niejedna kieszeń też tak schudła, iż nie będzie czem mostowego zapłacić.

Jarmark poczyna być bardzo wesoły. Katarynki grają, ptaszek ciągnie numera.

Tłok taki, iż przecisnąć się nie można.

— Co takiego? — pytam ze zdziwieniem.

— Ptaszek ciągnie losy.

— Co? co mówicie?

— Dyć pani nie rozumieją, że ptaszek losy ciągnie?

Istotnie. Żyd kręci korbą katarynki, a żydówka zbiera i zbiera pieniądze. Biedny, wymęczony ptaszyna ciągnie kartki zielone, czerwone i żółte, a ludzie czytają, słuchają, kiwają głowami i wierzą, iż ptak wyciągnął los, w którym prawda napisana.

Cóż to za smutny widok! Tyle ludzi u nas jeszcze nie rozumie, iż wszelkie wróżby o przyszłości są tylko oszustwem, bo ani ptak w klatce, ani kartka w żydowskiem pudełku nie wie, co będzie. Jeden Bóg tylko wie, co będzie. Więc pocóż wy płacicie za kartki i poco dajecie się wyzyskiwać?

Lecz pora wracać — I wy z jarmarku wracajcie do waszych cichych, spokojnych chat. Może tam niejedno dziecko płacze, może niejedna starowina babunia wygląda z niepokojem.

Idę drogą do mojej wioski, ale przejść trudno. Propinacya przed rogatką — a przed propinacyą tłok i ścisk, krzyki i śpiewy, bójki i całowanie się. Konięta głodne wiszą przy dyszlach, na niejednym wozie siedzi kobiecina i czeka, kiedy „gospodarz“ wyjdą, ażeby jechać, ale do tego zdaje się jeszcze daleko. Przed tą „propinacyą“ wszystko stanęło i dotąd się nie ruszy, dokąd ostatni grosz nie przejdzie do kieszeni żyda, dokąd ostatnia myśl przytomna nie utopi się w pijaństwie.

Płacz biedna żono, płaczcie dzieci biedne, które czekacie na powrót ojca. Jarmark kończy się zwykle źle. Dlatego ja wracam smutna i powiadam, już więcej na jarmark nie pójdę!

Hygiena dziecka, czyli o zdrowem chowaniu dziecka.

Dr. J. Budzyńska-Tylicka.

(Ciąg dalszy.)

Takie powolne, systematyczne odłączanie jest wyśmienite i dla matki, choć głównie dla dziecka, które przyzwyczaja się powoli do coraz to nowych pokarmów i do takiego samodzielnego odżywiania się. Matka znów bez najmniejszych przejść i bólów zatraca stopniowo mleko, tak, że ani karmicielka, ani niemowlę nie przechodzą tej przykrej chwili „odłączania“, kiedy to dziecko całymi dniami i nocami wrzeszczy i krzyczy piersi, a znów matka z nabrzmiałą, bolesną piersią kryje się po kątach, a nawet odchodzi na dni parę do swych rodziców i krewnych. Wszystko to niepotrzebna przykrość — a nawet taka raptowna zmiana pokarmu jest dla dziecka bardzo niebezpieczną i może je narazić na ciężkie i długie choroby żołądka i kiszek. Tylko powoli, co miesięcznemi zmianami pokarmu na inne pożywienie, trzeba dziecko odłączać, a przytem odłączaniu kierować się ząbkowaniem, bo jeżeli ząbkowanie opóźnione, to dłużej trzeba dawać piersi i większe, jak miesięczne, robić przerwy w podawaniu nowych pokarmów, a odłączyć zupełnie wtedy, gdy dziecko ma dziesięć ząbków.

O chorobach dziedzicznych.

Jak już mówiliśmy poprzednio, karmienie dziecka piersią matki i to karmienie regularne, systematyczne, zegarkowe (co 2 godziny do 5 miesięcy, a co 3 godziny od 5 do 14 miesięcy) i powolne, stopniowe odłączanie, zaczynając od 9 miesięcy a kończąc na 14 miesiącach — jest najważniejszym warunkiem dobrego, zdrowego rozwoju dziecka. Teraz mówić będę o innych niezbędnych rzeczach, które każda dobra i inteligentna matka, powinna się starać zastosować przy wychowywaniu swych dzieci. Miłość rodziców, ta miłość dla swych dzieci tak głęboka, a bezinteresowna, tak bezgraniczna i najtrwalsza — powinna być bodźcem do poznania tego wszystkiego, co może zabezpieczyć naszym dzieciom zdrowie, siły, odporność na różne choroby i co może w przyszłości wytworzyć ludzi szlachetnych, dobrych obywateli, pożytecznych członków społeczeństwa — a wiemy, że „w zdrowem ciele, zdrowa dusza“, gdy jest zdrowie, są i siły do pracy, i chęć do walki i wiara w lepszą przyszłość.

Jeżeli dziecię przychodzi na świat słabowite, chore, z zarodkami jakiejś poważnej, jak to się mówi, dziedzicznej choroby, to starania nasze, to troskliwość nasza koło tego drobnego, cierpiącego niemowlęcia, powinna być większą — spotęgowaną. Bo cóż to są te choroby dziedzicze? To są choroby często długie, przewlekłe, trudne czasem do wyleczenia, które niewinne dziecko zdobyło jeszcze przed przyjściem na świat — jeszcze w łonie matki — bądź od matki samej — ale częściej od ojca. Aż strach pomyśleć, jak niesprawiedliwie to biedne dziecię cierpi i to cierpi życie całe... a dlaczego? bo oto ani mężczyzna ani kobieta, dotknięci jakąś niebezpieczną chorobą, niezawahali się zawrzeć związku małżeńskiego, pomimo, iż chory człowiek nie może urodzić zdrowego dziecka Tu suchotnica ma być matką, tam suchotnik się żeni — tam znów pijak zatruty alkoholem, chce stworzyć rodzinę; nikt im nie przeszkadza — żadne takie prawo dotąd nie istnieje, by dozwolało lekarzowi zabronić się chorym żenić lub wychodzić za mąż —

nawet ci gnijący za życia — ci dotknięci jedną z najgorszych chorób na świecie t. j. syfilisem, czyli jak mówią pospolicie „zarażony“ — i ci się żenią — a niewinne ich dziatki pokrywają się wrzodami, gruźlicami, chorują niebezpiecznie na oczy, uszy; są wiecznie chorzy i lada co, może wywołać wybuch dziedzicznego syfilisu — i ciało im będzie się ropieć, gnić i kości próchnieć...

Biedne ofiary! — A dzieci suchotników nie o wiele szczęśliwsze; nazywają to pospolicie skrofułami — a to nic innego jak g r u ź l i c a, czyli suchoty d z i e d z i c z n e: szyja pokryta gruczołami, które mogą puchnąć i ropa w nich później powstaje, to znów oczy ciągle chore, z uszu się leje, przeziębiają się łatwo, kaszlą, wiecznie blade, i lada jakaś choroba zaraźliwa, lub złe odżywianie, a już po dziecku. Biedne ofiary! — A dzieci pijaków, alkoholików — czy o wiele szczęśliwsze? — oto już w pierwszych miesiącach wybuchają k o n w u l s y e, dziecko sinieje, oczy kołem mu stają i zda się za chwil parę, a już żyć przestanie; konwulsye takie powtarzają się mniej lub więcej często; gdy dziecko jest chowane bardzo hygienicznie i w dobrych warunkach, to czasem mijają, ale nierzadko przechodzą w e p i l e p s y e, zwane w i e l k ą c h o r o b ą i człowiek pozostaje nieszczęśliwy na życie całe; trudno mu pracować, inni go unikają, bojąc się by nie miał kiedy napadu.

(Dokończenie nastąpi).

* * *

Mały, wonny kwiateczek w ożywczej rosie skąpany, piękne, drobne wspomnienie, wyjęte z kalendarzyka domowego, pamiętnej daty roku 63. Tu należy wyjaśnić naszym Czytelnikom i Czytelniczkom, że niektórzy ludzie mają zwyczaj zapisywać codziennie wypadki i wrażenia z życia swojego, w kroniczkach domowych, lub kalendarzach, jeśli zaś sprawy te są związane z ważnymi wypadkami w kraju, wówczas także domowe kroniki mogą się stać bardzo użyteczne dla dziejopisów. Oto co notuje autor swego kalendarza prowadzonego w r. 1863.

18 lutego. Ważne wypadki następują po sobie szybko. Znowu mówią o odbudowaniu Królestwa Polskiego. Daj Boże, temu szlachetnemu narodowi, który walczył zawsze i wszędzie o wolność ludów. Chciałbym dzieciom moim zostawić jakąś pamiątkę osobistą, tych ważnych chwil, jakie znowu przeżywa Polska. Muszę także zanotować tu, co mnie poruszyło do głębi. Może, odczytując to kiedyś i im się udzieli podobne memu, wzruszenie. Nic też dziwnego, w tym smutnym, żałobnym czasie naszym. — Łzy same napływają do oczu. Przerzucając z końcem starego roku dawne moje kalendarze, natrafiłem na opis zwiedzania grobu Kościuszki w r. 1827, przez jakiegoś obcego podróżnika. Myśli moje i uczucia łączyły się przytem naturalnie we wszystkiem ze wspomnieniem ofiar, jakie teraz naród polski już złożył na ołtarzu wolności. Wszak to Kościuszko pierwszy w imię tych samych haseł powołał lud rolny do boju i za tą samą myślą spieszyli przed laty najszlachetniejsi mężowie aż na drugą półkulę, by za wolność ludów nieść najpiękniejsze nadzieje życia.

Wieleby można zacytować wzmianek w podróżach cudzoziemców, o tej drewnianej trumnie Naczelnika, co miała na wieku tylko atramentem napisane imię „Kościuszko“, a widok jej wzruszał każdego. Gdyśmy do grobu schodzili, mówi ów podróżnik, weszło za

nami wiele wiejskiego ludu, który był dnia tego na targ do miasta przybył. Chłopi i kobiety zanosili się od płaczu na widok trumny swego Naczelnika. Uklękli modląc się rzewnie, a wargi drżały im z żalu i wzruszenia. Na wszystkich twarzach widać było boleść szczerą, a ciszy uroczystej grobu nikt nawet szeptem zmącić się nie ważył. W niektórych grupach klęczały chłopięta w pięknych biało - czerwonych sukmankach z podciętymi na czole włosami, przejęte nad podziw wzruszeniem rodziców, trzymały dłonie złożone przy ustach, półszeptem odmawiając pacierze i żegnając się co chwila w naiwności dziecięcej, jak gdyby tym świętym znakiem zbawienia, chciały głęboko uczcić trumnę tę, przed którą korzyli się we łzach i modlitwie ojcowie ich i matki.

Odchodząc, mężczyźni i kobiety kładli w milczeniu ręce na trumnie, jakby przysięgali lub unieść z sobą chcieli — to dotknięcie, niby czar, talizman, zaklęcie, na dolę życia i dla tych, których pozostawili w domu — niemowląt w kołyskach.

A na końcu dodaje: Nie widziałem większego żalu u grobu rodziców, jak ci ludzie okazywali przy trumnie wodza swojego... Lud polski r. 1827 nie wyjdzie mi nigdy z pamięci!

Tak pisał cudzoziemiec, podróżnik, obcy, a ja zapisawszy to rozważałem potem o zmierzchu, zanim lampę wniesiono, wszystkie daty walk o niepodległość Polski. Wszak o to sama dziś walczą jak przed laty.

Pamiętam ja doskonale jak w r. 1831 przyjmowaliśmy i gościli oficerów i ludzi z korpusu Dwernickiego, którzy przed naciskającą ich armią rosyjską od Podola, schronili się na stronę austryacką. Do owego powstania 31 r. w Warszawie, mnóstwo ludzi i młodzieży jak teraz wychodziło z Galicyi. Przy dacie 46 roku, zatrzymuje się myśl i pióro. Krwawa zasłona zda się zapadać na oczy. .

Byłyż to te same chłopięta z r. 1827 modlące się ze złożonemi, jak anioły, rękoma w katedrze na Wawelu?

Straszna tajemnica spoczywa nad tem wszystkiem. Nie mnie ją odsłaniać i badać*).

Tyle z kalendarza 63 r.

Dodamy jeszcze, że słodką powinnością czci i miłości dziecięcej jest składanie hołdu bohaterom naszym, ale dumą napełnić się musi pierś każdego Polaka, kiedy te hołdy i słowa uwielbienia słyszy się wypowiadane ustami obcych.

Piękną jest karta księgi owego obcego pisarza, gdzie głoskami, jakoby jaśniejącemi wszystkimi promieniami wiosny, wyryte stoją słowa: Nie wyjdzie mi z pamięci lud polski w r. 1827,

Niechże ten obraz braci waszych, połączonych ogniwem przeszłości z przyszłością, będzie tym hołdem, tym uduchowionym kwiatem uczuć, który pielgrzymi składają na grobach bohaterów naszych w Krakowie, to zwłaszcza, że data kalendarza z którego czerpaliśmy, dziwnie się zgadza w nadziejach z obecnie rozbudzonemi nadziejami narodu.

A. Bandrowska.

---

*) W czasie kiedy to było pisanem, nie były jeszcze dobrze zbadane powody wypadków 46 r. Dlatego zwłaszcza uwaga jaka w przeczuciu wyrażona, że czystą duszę ludu polskiego, musiał jakiś tajemny wróg podstępnie splamić.

Boleśnie obopólnie wspominać oną chwilę, ale dla wierności notatek nie było to potrzebnem — a w dalszym ciągu owej kroniki przekonalibyśmy się niestety, że i w r. 63 dawali się włościanie w dalszym ciągu uwodzić przez Moskali i dopuszczali się nieraz wraz z nimi zbrodniczych czynów. Nic też dziwnego, że autor gorzko rozpamiętuje łatwowierność ludu i nieufność ku swoim.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni M. Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.

OLCZA.

Jednę szóstą część Olczy w Zakopanem, posiadał Tomas Buńda, Skrzypem nazywany, ze Starego Bystrego; ale on tu bardzo rzadko sam bywał, latem ta ino pachołek przychodził z bydłem i na wiosnę też, zasiewał tu niewielki kawałek pola i grulami zasadzał, bo były same liche iły; tak ino, aby ta pasterz miał co jeść i bydłu było co dać na przednowku, jak przyszeł zły czas.

Najwięcej zaglądała tu na pasterza w lecie, sama Skrzypowa, a na zime bydło powracało do wsi, bo tam mieli gospodarstwo chrube. Trzy role gruntu, jak jeden pas, przerzynały sam środek wsi Starego Bystrego, od Maruszyny hen w dół, aż po Czarnodunajecką na wierchu drogę, bielił się jeden sznur Skrzypowego pola.

Na samym jego środku, jakby dworek jaki, stały obszerne budynki Skrzypa, tak, że gdy wlaz po drabinie na dach chałupy, to widział cały swój grunt, od końca do końca, i wiedział czy mu tam robi kto w polu szkode, albo nie — a nie potrzebował nigdzie precz chodzić.

O hej! — Skrzyp był gazda chruby: dziewki służące zawsze trzymał trzy, swoje córki dwie, już dorastały, pachołek do roboty i pasterz do bydła był wse.

Tego poliska miał huk, a zarobków nie było; to siał len po trzy, i štyry korce siemienia wysiewał na wiosne, to zimą w jego izbie tylko furcały pod kądzielami wrzeciona — tak przędli.

Wyrabiał półsetki płótna, przędzionka, i sprzedawał; z siemienia, bił w olejarni olej, makuchy... a świat zabrał.

Jego córki jaz pogarbiały od wiecnego pod kądzielami siedzenia — a on sam, aż się na bachro skrzywił w grzbiecie, ale to nie pomogło nic: on latem i zimą z pod kądziele nie wychodził.

W Maruszynej miał swojego knopa, Szymka Mrowca, który mu już to płótno rok rocznie wyrabiał — gęsto i pięknie tak, że tam woda nie bardzo przezeń przeciekała; płócienicy znali się już na tem, to mu do chałupy po półsetki przyśli, i zabrali — Skrzyp nie potrzebował się z niemi ani na jarmarki trudnić.

Z Mrowcąm mieli się od dawna zaco, to choćta Skrzyp od robienia i nie płacił, bywało zaraz, ale płótno miał wse wyrobione na czas.

Rachowali się ino ściśle, a wyrzynali karbiki na sosrębie u Mrowca, kielo było miar płótna tego roku, łoni, załońskim i pozałońskim; a hoćta karbiki zbliżały się już ku samym dźwierzom, na jeden koniec sosrębu, to jednak Mrowca nie robił se ni z tego — ba, Skrzypowi płótno zawsze na czas wyrabiał, i karbów na sosrębie nowych co roku przybywało. Czasem ta rzek jakby ino od niechcenia:

Bajto!... Zje — jako bedzie; to bedzie!?... ba. On ta da!... Bo ma co...

I tak szło coraz dalej i dalej, w zgodzie — a co sobie ta myślał o tem Skrzyp: to było zakryte tajemnicąm Mrowcowi i innym; ale raz, było to w poście, marzec był ostry, i po Starem Bystrem niejeden starzec kład się do snu, z którego go już nigdy niezbudzono, przyszła też kolej i na Skrzypa, począł i on pokaśliwać, i coraz bardziej pokaśliwać, i coraz bardziej czuć się niedobrze; co widząc sama Skrzypowa, rzekła do niego jednego wieczora:

Tomek; mozeby po księdza?... Co!...

Ba!... Tu mi tak księdza nienaraty — bo ja tu nie krod, ani nic!... ale po knopa w Marusinie: hej, to by się ta i zesło — posłać: bo widzis — śnim porządek jaki, koniecnie trza sprawić!... odrzekł sam.

O, trza! Trza — i posłała.

Priseł Mrowec. — Nojakoś! ponoście mi tu chorzy, hę?...

Zjedejta, tak się sićkim widzi, zekła i chory — ale tu jesce śmierci nima; bo ja jesce tu wsędej mocny, i kiese wznacki na pościeli legne, odkrzypne, to jaz do powały pluchne... ba!

To jesce — wiera nieźle!... zauważył knop...

Nieźle — nie: ale — ja tu z tem płótnem chce naskorzej porządek zrobić!... a potem juz — zje jako bedzie, to bedzie!?... ba; tu się nie wydres...

O nie..... Nie...

Jele tak myśle: płótno, płótnem... Robota, robotąm!... Weściez Wy zato Olczę w Zakopanem — hej, i bedzie... Jest tam tego cała sosta część, w pasujskach, w lesie i we wsićkim hej, to to ino weście!...

I Maryne ku temu!... wtrąciła się sama.

Olczę weznę — ale Maryny nie; bo je krzywo... odrzek knop — a mój sin prosty — to jakosby to było?!...

E co tam z Maryną; odrzek Skrzyp, purdziadło; ja tu z płótnem robię porządek... ba!... I Olcze wam wieczyście daję.

Dobrze — wychodząc Mrowca odrzek, lecz gdy drzwi przywarł, Skrzyp załknął się śliną i skonał.

Na tej podstawie Mrowca stał się właścicielem jednej szostej części Olczy w Zakopanem, która się dotąd roląm Mrowcową nazywa.

Skrzyp jak dał, tak Mrowca miał; ożynił zaraz po Wielka Nocy syna na Olczy u Sobka Migla, który ze Starego Sącza pochodził, i tu razem ze zięciem w Zakopanem zamieszkali.

Migiel był człek zupełnie innego nastroju, co tutejsi mieszkańcy Olezy — miastowy wytłuk, zięć też jego Mrowca, mało co inszy od niego, obaj łakomi, chciwi — a przebiegli we wszystkiem co co niewiedzieć; zaczeli też ze sąsiadami wszczynać różne niezgody, to o miedzy, to o to, to i owo; a wszędzie postawiać na swoim i wygrywać; najwięcej gniewała ich miedza Bachledów, która szła wprost od Bystrego ku Ustupu potoczkiem Wojtusiackim.

: Cała zbocz, na sam wierk Bachlecki, zarośnięta była grubym smrekowym lasem, aż po drogę, która wierchem samym przerzynała te lasy od kuźnic aż do Ustop — Bachledzi tu swoje owce paśli, popod las ściołka zbierali i drzewo na swe potrzeby ścinali.

Migiel ze swym zięciem Mrowcąm, na to patrzeć nie mogli — poszli jednego roczu, granićne znaki owym potokiem zniszczyli, a natomiast je drógąm samym Bachleckim wierchem zabili; z tego poczęli Bachledów spędzać z bydłem ze zbocza, używanie im w lasach tych wzbraniać, jednem słowem wyrugowali z tamtąd Bachledów zupełnie, z czego powstajały zwady, zawsze Miglowie wychodzili cało. Lecz dobrze to gwarzą: zbanek wodę nosi, dopóki się mu ucho nie urwie — tak się też i tu z Miglami stało.

Jednego pięknego letniego dnia, Jakób Bachleda Wraj, pasł owce tu w Bachleckim wierchu; chłop był setny, bo i po zbóju chadzał, a że spory, zwady i kłopoty lata długie się już ciągnęły, więc to Bachledóm omierzło zupełnie, i już nijako ową zbocz Migląm odstąpili; ale ten zapuścił swoje owce skrzydłem od Ustupu, ktore szły jakby ławą po całym zboczu po Wojtusiacki potok, i pasąc się, posuwały się powoli pod

Bystre — obaczył o tem zięć Miglów Walek Mrowca, i dalejże sam zganiać i spędzać je z tamtąd, a dogadywać Wrajowi.

Oburzyło to Wraja i powstała pomiędzy niemi bitka. Wraj uderzył Mrowce watlarzem w ramię, tak nieszczęśliwie, że mu złamał ręke, a wtedej pozbierał go rękami za włosy, prasnął na ziemie, i tak przez całą długość granice, potokiem Wojtusiackim, bijąc go, aż po Ustup przywlókł — a powtarzał:

A tu je wraj granica!... tu...

Z tego Miglowie wytoczyli Bachledom proces, o samowładne przekładanie granic i wyrugowanie ich ze zbocza; zapowiadając pretensyje swe udowodnić przysięgą główną, którego bądź z Miglow, tak, że granica szła z dawna drogą Kuźnicką wierchem.

Poźnąm jesienią zjechała komisyja sądowa na miejsce, aż że Szaflar i spór ten rozestrzygła.

Sobek Migiel złożył zaofiarowaną przysięgę dowodową, że granica szła z dawna Kuźnicką drogą, samem wierchem Bachleckim, i że Bachledzi rok rocznie ich niepokoją na całem wschodnim zboczu wierchu, aż po potok Wojtusiacki i z tamtąd Miglów bezpodstawnie rugują.

Wskutek tego dowodu, sąd zmusił Bachledów natychmiast brać głębokie rowy, na udowodnionej granicy, zwozić wielkie kamienie i nimi je napełniać, tak, aby w sto lat i więcej, przyszłe narody mogły granice te odnaleść i podług niej raz na zawdy oryjentować się bez procesów, i wszelkie dalsze naruszenie Miglów na zboczu tym, poza ową granicą, pod karą sto grzywien lub miesiąca ciemnicy nakazał, a Kube Wraja na trzy miesiące sodzy, za złamanie Mrowcowi ręki, zasądził.

Cóż było robić: wobec takiego zaprzysiężonego dowodu przez Migla, gdyż w ten czas nad Szaflarski sąd wyższej instancyje nie było... Nie było adwokatów żadnych, żeby umieli dalej sprawiedliwości poszukać, więc Bachledzi choć tem pokrzywdzeni, musieli na to przystać — oddając swą krzywdę na wolą Bożąm, i sumienie Migla.

Z początku Miglowie byli zadowolnieni z tego, że proces ten wygrali, i cieszyli się, ale to niedługo trwało: bo gdy przyszła zima, i noce długie, sam Sobek począł czegoś sowieć. Po nocach nie mógł nic spować, ino się nudził, a mruczał niezrozumiale sam do siebie cosi pod nosem; z czasem stał się ponury, zły taki, że mało się co do domowników i odzywał, a jak się odezwał, to zawsze z gniewem i czegoś był jakby lękliwy — często wyglądał na czerniejący się las nad Bachledami, a wtedej skrobał się po głowie rękami, i mruczał pod nosem.

Stało się.. to je darmo!.. hm, hm, hm!..

Czasem się i wybierał gdzieś, tak jakby w drogę, to zwykle kończyło się na tem, że wychodził na stodoły i tam czegosi po krokwiach upatrywał, a niekiedy i powróz ze sobąm bierał; ale zięć Mrowca, dał zawsze pozior za nim, i przez zime nie było ta nic; tylko to, że z każdym prawie dniem stawał się nudniejszym i posępniejszym.

Nareszcie przyszła powoli wiosna; ludzie orali w polach, kopali, sadzili grule co cud, bo ciepło było.

Nas Sobek Migiel, nie brał się w pole nic do roboty, ino jakby w największe mrozy, odziały w kożuch, wyglądał z poza węgłów swych zabudowań, na ludzi pracujących w polu, i tak jakby się ich lękał, wracał napowrót do obory i znów chodził po szopie i izbie, a czegoś tam znowu w krokwiach i batach upatrywał... To tam jednak nic nie ro-

biło, bo zięć Mrowca się już na ręke wygoił, to w polu zaorał, zasiał; a baba jego Baśka, kopała i sadziła grułe — stary Sobek miał czas wyzierać na ludzi z poza węgłów i po szopach łazić, a nawet mu już w ten czas niemiał kto przeszkadzać w tem, bo wszyscy byli robotą zajęci w dzień w polu — ale ta jakosi niemógł wypatrzeć nic, ani znaleść — hej, tam miejsca nie było.

Aż ci jednego dnia, gdzieś zaraz rano zniknoł Sobek tak jak kamfora. Śniadanie, Sobka nima; juzyna przed południem — nima!... „Cud Boski“ — szukają — nima i nie!...

A Sobek wzioł z domu powróz i świtaniem poszeł w lasy Bachleckiego wierchu — przyszeł tam, szukał i łazieł niemal do południa cegoś od drzewa do drzewa, nareszcie stanął na owej miedzy pod smrekiem, którą był jesienią poprzysiągł, zmacał na nim grubego sęka niewysoko nad ziemią, a gdy się przekonał o jego pewności, założył nań jednego końca pentlice w powrozie i rzek:

Stało się..... To je roz!!.....

A to mówiąc, zarzucił drugąm sobie na gardło, i gdy do Orawy powiał pierwszy mroźliwy złowrogi wiatr, wtedej on opuścił się na dół, a gdy za nim nadciągnęła jęcząca chmura, on już wisiał w powietrzu nad ziemią i życie jego walczyło ze śmiercią; lecz w tej chwili od przechodzącej po podregle, ze Samkiem, djabelskiej wichury, oddzieliło się stado wielkie kruków, które z krzykiem dziwnym „krup! krup!“ i łopotem skrzydeł, tak wielkim, że od tego wiatru ich piór, całe lasy, które porastały po Bachleckim wierchu, jak łan zboża podcięty kosą, zostały z korzeniami naraz wywrócone — pozostał tylko jeden smrek, u gałęzi którego wisiało drgające jeszcze ciało Sobka Migla, na które rzuciły się wszystkie kruki owe, w oka mgnieniu je na strzępy roztargały, i od końca do końca po zaprzysiężonej przezeń miedzy rozniosły... pozostał na drzewie wisieć tylko goły z Sobka kościotrup, a kruki z takim samem łopotem i krzykiem wróciły nad Jaszczurowską do owej chmury i poszły z nią na Spiż.

Pracujący po Olezy ludzie w polu, widząc to, truchleli od strachu, a gdy chmura odeszła nad Węgry, i ciepłe słońce zajaśniało znów nad ich głowami, niektórzy śmielsi pobiegli z ciekawości oglądać skutki wesela kruków na Bachleckim wierchu; znaleźli tam same wykroty z drzew na ziemi leżące, a pomiędzy nimi, jakby nietknięte tą wichurąm jedno drzewo stojące, na którem bielały wiszące kości Sobka Migla, krzywoprzysiężcy.

Osądzili to wszyscy będący na miejscu, że to kara Boża za fałszywą przysięgę, odcięli tedy z powrozem te kości, i tu w jeden miedzowy dół wrzucili, który Bachledzi przy komisyi wygrzebali, a nie zasuli, jeno kamieniami zatulali, i to miejsce „Miglową miedzą“ nazwali.

Na której każdej nocy, lub mglistego dnia, widywano postać olbrzymiego wołu.....

Andrzej Suleja.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie.
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.